NAOKOŁO ŚWIATA

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Redakcja i administracja w domu przy ul. **Hożej № 52, m. 4, na dole;** otwarte, codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 11-ej z rana do 1-ej po południu i od 4-tej po południu do 6-tej z wieczora.

Nr. 37. **Warszawa, d. 10 Września (28 Sierpnia) 1904 r.** **Rok III.**

Z NASZEGO KONKURSU FOTOGRAFICZNEGO.

(Zdjęcia p. Michała Kuścińskiego z Mikołajowa.)



Kreicburg, w kronikach Krzyżbor. W końcu XVI wieku król Zygmunt III obszerne te dobra (dziś w pow. dźwińskim) nadał Mikołajowi Korfowi staroście dynaburskiem; dotychczas we władaniu bar. Korfów.



Most w Leplu, na rz. Ulance, przy wypływie jej z jeziora Lepelskiego.

JOZEF GIEYSZTOR.

Na Dalekim Wschodzie.

(Ciąg dalszy.)

W ciągu następnego dnia, przy bardzo ładnej pogodzie, płynęliśmy, bez zatrzymywania się, wzdłuż brzegów Korei, które były jednostajnie skaliste. Przy świetle słońca ładnie wyglądały szczyty dalekich gór, pokryte świeżo spadłym śniegiem. Nad niektóremi wąwozami czy dolinami unosiły się dymy, które ja uważałem za skutek pożarów leśnych, kapitan zaś brał za opary, wznoszące się nad licznemi w Korei termami mineralnemi. Największą jednak atrakcję stanowiły wieloryby, które ukazały się tu w dość znacznej ilości. Co chwila w oddali ukazywał się wytrysk wody, który czasami zbliżał się do statku: wówczas z fali wyłaniał się olbrzymi, czarny grzbiet potwora, lub też mignął trójkątem ogon. Kilka razy wieloryby, parami lub oddzielnie, przepłynęły tuż obok statku, lub równolegle z nim, i podczas wywiązującej się w ten sposób gonitwy, w której olbrzymie ssaki były zawsze pobite, można było dowoli przypatrzyć się tym wspaniałym, a bezradnym stworzeniom. Z bezradności tej korzystają ludzie i połowem wielorybów trudni się tu kilka kompanji, z których największą jest kompanja hr. Keyserlinga. Idąc z postępem czasu, dawne harpuny ręczne zastąpiono przy połowie wielorybów armatami, których pocisk zawiera stalowy harpun z kulą eksplodującą w środku. Wytapianie tranu dokonywa się również tuż na morzu, na osobnych statkach z olbrzymiemi kotłami; gdy przedtym trzeba było każdego złowionego wieloryba transportować nieraz zdaleka na brzeg, do pewnego określonego punktu, gdzie były urządzone podobne kuchnie.

Nazajutrz zrana zarzuciliśmy kotwicę w porcie Fuzan. Jest to największy port Korei wschodniej,ześrodkowujący, wraz z Czemulpo, prawie cały handel zewnętrzny państwa „spokoju porannego", jak poetycznie nazywają koreańczycy swoją ojczyznę. Pojechaliśmy znowu na ląd i spędziliśmy tam czas do wieczora, zwiedzając miasto i robiąc wycieczki w okolice.

Fuzan jest to spore miasto i, podobnie jak Genzan, czysto japońskie. Na brzegu wznosi się gmach komory celnej, eksploatowanej przez japończyków, gdzie wre życie handlowe. Tłum tragarzy: koreańczyków nagich do pasa i japończyków z gołemi nogami, przenosił tam i z powrotem worki z trawy morskiej, napełnione ryżem lub solą, pudła z „żen-szeniem" i trepangami, deski cennych gatunków drzewa, skrzynie z tkaninami i t. d. Weszliśmy w uliczkę wprost przed siebie. Po obu jej stronach wznosiły się pudełkowate domy mieszkalne, japońskie, z rozsuwanemi ścianami i minjaturowemi dziedzińczykami-ogródkami w głębi. Minęliśmy je, mając w perspektywie obznajomienie się z niemi bliższe w samej Japonji, i wstąpiliśmy na ładnie zadrzewione wzgórze. Wznosiło się tam kilka świątyń, jak się okazało, japońskich. Świątynia taka jest właściwie gankiem, werandą o trzech ścianach, służącą wyłącznie do umieszczenia ołtarza. Jest tam para malowideł, jakieś posążki, naczynia, wiszą latarnie, dzwonki. Przed świątynią, do której prowadziło kilka stopni, stał kubełek z wodą i czerpaczkiem, parę figur ciosanych i kamienie, jakieś wykopaliska stare, wreszcie stara, wyżarta przez rdzę i porosła muszlami, kotwica. Młoda japonka, która szła za nami, prowadząc za rękę smagłego chłopaka, napiła się wody z kubełka, zrzuciła przed świątynią sandały słomiane i weszła na stopnie. Klasnąwszy parę razy w dłonie, młoda kobieta uklękła i, składając ręce, poczęła się modlić. Wstając z kolan, pociągnęła za dzwonek i odeszła. Toż samo i w tym samym porządku wykonał wszystko japończyk, który w ślad za tym zbliżył się do świątyni; był to więc, widocznie, ustalony rytuał modlitewny.



Typy koreańczyków fuzańskich.

Ze szczytu góry, porosłego pinjami i dębami, roztaczał się przepyszny widok na mia-

sto, na zatokę błękitną i na sąsiednią górę ze starym cmentarzem. U stóp jej, otoczone wysokim murem i okopami, wznosiły się koszary wojska japońskiego. Na obszernym dziedzińcu oddział żołnierzy, po europejsku umundurowanych, w białych kamaszach i czarnych kurtach, odbywał ćwiczenia. Kiedyśmy podeszli bliżej, jeden z licznych szyldwachów zagrodził nam drogę i grzecznie, ale stanowczo, kazał się cofnąć. Na ulicy, następnie, spotkaliśmy znowu oddział piechoty japońskiej; widok tych małych, ale sprawnych i buńczucznych, żołnierzy czynił wrażenie bardzo dodatnie.

Udaliśmy się następnie na stację kolei żelaznej, budowanej przez japończyków dla połączenia Fuzanu ze stolicą, Seulem, i dla przedłużenia już istniejącej, jedynej dotychczas w Korei, linji kolejowej: Seul-Czemulpo. Stacja odległą jest od miasta o $2^1/_2$ wiorsty. Droga, prowadząca tam, było właśnie szosowaną i tłum robotników koreańskich zajęty był okopywaniem stoku góry i ustawianiem mostu.

Za miastem natknęliśmy się na jakąś procesję tubylców, otaczających tłumnie coś w rodzaju karawanu czy baldachinu, zdążającego przy dźwiękach bębna w stronę cmentarza Był to, jak przypuszczam, pogrzeb ale, nie znając języka, nie mogliśmy się o to nikogo zapytać. Nieco dalej zwróciły naszą uwagę słupki. drewniane, ustawione przy drodze i ozdobione w górnej części wyobrażeniami postaci ludzkich, niezgorszej roboty. Były to, jakem się później przekonał, słupy wiorstowe, którym koreańczycy lubią nadawać kształt posążków.

Na stacji kolejowej zastaliśmy pustki zupełne, gdyż trafiliśmy na przerwę pomiędzy przyjściem a odejściem pociągów. Tym lepiej więc mogliśmy się przyjrzeć świeżuchnym, jak z igły, budynkom stacyjnym i nowiutkim jeszcze wagonom z napisem angielskim „*Kej-Ju Railway.*” Wagony II i III klasy, bardzo długie, nie mają przedziałów, lecz zapełnione są dwoma rzędami krótkich ławek z przejściem po środku. Pomimo że tor przeprowadzony był zaledwie na wiorst kilkadziesiąt, administracja podtrzymywała prawidłowy ruch osobowy i towarowy, pragnąc dać ludności jaknajprędszą możność korzystania z nowego środka lokomocji. W tym samym celu bilety na przejazd sprzedawane były niemal w każdym sklepiku miejskim, co zapobiegało jednocześnie tłokowi przy kasie stacyjnej.

Drogę powrotną do miasta odbyliśmy na „rikszach”, t. j. lekkich wózkach, na wysokich kołach, ciągnionych przez japońskiego woźnicę-laufra.

Miasto składa się z głównej ulicy, zajętej przez szereg otwartych sklepów, oraz kilku bocznych ulic, na których mieszczą się mieszkania prywatne oraz gmachy publiczne, jak poczta, szkoły i t. d. Wszystko naturalnie w rękach japońskich. Tubylcy — koreańczycy zamieszkują, jak i w Genzanie, dwie wsie poblizkie, stanowiące rodzaj przedmieść, trudnią się nieco handlem, głównie jednak rolnictwem, rybołówstwem i dostarczają siły roboczej dla przedsiębiorstw, prowadzonych przez japończyków.



Typ koreanki.

We wsi znaleźliśmy też same chaty gliniane, dachy słomiane, biało ubranych mieszkańców i pola uprawne wokoło.

Kiedyśmy wrócili na naszą „Nonni”, obok kołysały się 4 zgrabne, białe torpedowce japońskie. Małe szalupy wojenne, z miarowo opadającemi i podnoszącemi się wiosłami, krążyły pomiędzy niemi, przewożąc oficerów. Na pytanie moje, od jak dawna datują się stosunki Korei z Japonją, które doprowadziły do obecnego stanu rzeczy, kapitan W. wskazał stare zwaliska, widniejące na brzegu oraz na obok leżącej wyspie.

Były to resztki dwóch twierdz: koreańskiej i japońskiej, wprost siebie stojących i długie lata grożących sobie nawzajem. Z biegiem czasu obie strony przyszły do przekonania, że lepszy jest sojusz, niż walka, i oto Japonja otrzymała wstęp do Korei, a wraz z sobą wniosła ożywczy prąd przedsiębierczości i kultury do kraju, któremu tych właśnie pierwiastków najbardziej brakowało.

Około godz. 5-ej wiecz. podnieśliśmy kotwicę, a wraz z nami ruszyły i torpedowce, zapełniając port żałosnym wyciem syren parowych. Jak sznur olbrzymich kaczek przeciągnęły koło nas białe statki i wkrótce zginęły nam z oczu, chociaż szliśmy całą siłą pary, robiąc 12 węzłów na godzinę. Minęliśmy skaliste wysepki, otaczające zatokę Fuzanu, niezgrabne łodzie rybackie z żaglami z mat słomianych i wypłynęliśmy w morze otwarte. Zachodzące słońce rzucało poziome promienie na zlekka po-



Brama starożytna w Telinie (w Mandżurji).

marszczoną powierzchnię wody i skrzyło się w metalowych okuciach statku.

Kiedym, w godzinę potym, wyszedł znowu na pokład, ciemna noc przykrywała już wszystko. Na lewo przed nami mrugało na morzu światełko.

„Wyspa Tsusima"—objaśnił kapitan. Były to ognie na placówkach japońskich, strzegących przejścia po morzu i mogących, w razie ufortyfikowania, uczynić z tego miejsca Gibraltar azjatycki.

(*C. d. n.*)

NA POWIŚLU.

(Wyjątek z dzieła d-ra Antoniego Rehmana „Ziemie dawnej Polski".)

(Dokończenie.)

Naturalnie bogactwo całej tej krainy leżało pierwotnie w lesie, a obecnie, gdy lasy uległy przetrzebieniu i używalność ich została ograniczona ustawą, polega na rolnictwie. Niebotyczne sosny puszczy Sandomierskiej dostarczały z dawien dawna wybornych masztów, a dęby—klepek do budowy łodzi i okrętów, które Wisłą szły prosto do Gdańska. Niemało materjału leśnego dostarczały też lasy karpackie; spławiany na rzekach, przecinających kotlinę Krakowsko-Sandomierską, szczególniej na Sanie, dostawał się do Wisły, która bywała nieraz tak spławami zawalona, że ich właściciele musieli czekać po parę tygodni, nim przyszła na nich kolej ruszenia z miejsca [1]). Obecnie mało, a las idzie na potrzeby krajowe; lepszy materjał, przerobiony w tartakach parowych, służy na budowle, gorszy na opał.

O ile ubyło lasu, o tyle przybyło ziemi pod uprawę. Najlepsza gleba znajduje się tu

[1]) Jest rozpowszechnione między flisakami mniemanie, że i zasoby wody w rzekach galicyjskich, i ich spławność były dawniej większe, niż są obecnie. Przemawiałyby za tym poniekąd szczątki wielkich statków, napotykane w tych rzekach. W r. 1887 widział autor, jak w Ulanowie wykopywano z gliniastego brzegu nad samym Sanem kotwicę okrętową, której wysokość wynosiła co najmniej półtora metra. Nie jest prawie prawdopodobnem, ażeby statki, używające kotwicy takich rozmiarów, chodziły w niedalekiej przeszłości po Sanie. Jest natomiast możebnym, że flisacy, wracający z galarem do domu, napotkaną gdzieś na brzegu kotwicę zabrali i przywieźli do domu, gdzie mogła im być przydatną do przytrzymywania spławów. Ale kotwica takich samych rozmiarów została przed kilku laty znaleziona także w Prucie pod Czerniowcami.

na powiślu; są to słynne nadwiślańskie rzędziny, osadzone przez rzekę w czasie powodzi. Odznaczają się one nadzwyczajną urodzajnością; pszenica rodzi tu obficiej, niż na glinkach wyżyny sandomierskiej, i w wybornym gatunku; stanowiła ona zawsze najcenniejszy przedmiot handlowy i szła również do Gdańska; gdziekolwiek pas takiej gleby był szerszy, tam obywatele, nie czekając na zachętę, lub pomoc ze strony rządu, otaczali go[1]) potężnym wałem, chronił który ich ziemie od wylewów Wisły.

Takie rzędziny znajdują się, w mniejszej, co prawda, ilości i nad innemi rzekami, gdzie przez włościan pod kapustę i warzywa, po niesłychanie wysokiej cenie dzierżawione bywają.

Ale z tą najurodzajniejszą krainą graniczy prawie bezpośrednio pas sośnin, w którym gleba piaszczysta zaledwie swego właściciela wyżywić zdoła. Ziemia, leżąca w sąsiedztwie piasków, ulega nadto bezustannemu zasypywaniu, wskutek czego urodzajność jej ciągle się zmniejsza, a niekiedy ulega zupełnemu zatraceniu. Wieśniacy, do których te ziemie wyłącznie należą, poprawiają je przez uprawę łubinu, ale nieoświeceni, a zysku chciwi, zostawiają łubin, dla zebrania nasienia, do jesieni, wskutek czego cały trud bywa stracony. Ale i ta nędzna ziemia jest dla nich drogą i starają się o jej przysporzenie. Istnieją w tutejszym pasie sośnin obszary piaszczyste tak jałowe, że żadna roślina ich się nie ima. Są to przeważnie wzgórza piaszczyste, t. zw. wydmy, złożone na powierzchni z lotnego piasku, który wiatr za każdym podmuchem unosi, zmieniając, chociaż zwolna, ale statecznie, i postać, i położenie wydmy, i czyniąc jej ustalenie przez roślinność niemożebnym. Ażeby usunąć szkodliwy wpływ, jaki te piaszczyska wywierają na całe swe otoczenie, zajął się w ostatnich dziesiątkach lat rząd krajowy ich zalesieniem. Ażeby ruchliwość piasku zmniejszyć, przecina się pole, w kierunku poprzecznym do panujących wiatrów, płotami z chrustu, i obsadza w szachownicę wydmuchszycą (Elymus arenarius L.), która bardzo głęboko zapuszcza swe korzenie[2]). W następnym roku sadzi się między kępami tej trawy robinę (pospolicie akacją nazywaną); ta rośnie szybko, i ocienia ziemię, na której puszcza się niebawem zarost zielny i trawiasty. Czas, potrzebny do ustalenia piaszczyska, zależy od rozwoju tych roślin, a ten od wilgoci ziemnej, która w każdym piaszczysku, w mniejszej lub większej głębokości istnieje. Po robinji idzie brzoza i sosna. Dobry przykład, jego pomyślny skutek, jak niemniej i nagrody pieniężne, rozdzielane przez rząd, zachęciły tak tutejszych włościan, że, pomimo gwałtownego z ich strony z początku oporu, obecnie sami na własną rękę i gminne, i swe własne piaski zalesiają z bardzo pomyślnym skutkiem.

Jest to więc kraina rolnicza i leśna. Człowiek żyje tu z tego, co mu ziemia daje, przemysł znajduje się tu dopiero w zaczątku. Do kilku gorzelni i kilku tartaków przybyła niedawno koszykarnia w Rudniku, która zatrudnia dużo młodzieży wiejskiej, a daje znaczny dochód i wieśniakom, zajmującym się na własną rękę uprawą wikliny. Do roboty koszyków posiada nasz robotnik niezwykłe uzdolnienie, wyroby rudnickie dostarczają przedmiotów, nietylko do codziennego użytku, lecz i do ozdoby, służących; te ostatnie są bardzo cenione, rozchodzą się po całym kraju, i bywają, a przynajmniej bywały, nawet do Ameryki wywożone. Warto też wspomnieć, że stare osiki tutejszych lasów tworzą podstawę osobnego przemysłu. Tak zwany koryciarz, kupiwszy — za drogie pieniądze — na pniu rosłą i zdrową osikę, osiada z rodziną w lesie na całe lato, ścina osikę i przerabia na niecki, koryta, warzęchy i inne przedmioty gospodarskie. Zabrawszy w jesieni towar na wóz, jeździ z nim po jarmarkach tak długo, dopóki go nie wyprzeda, poczym znowu powraca do lasu. Takiego koryciarza widzieliśmy jeszcze w r. 1886 w lesie należącym do wsi Kamień. Do przemysłu leśnego należą też liczne maziarnie, wyrabiające smołę i dziegieć, przedmioty które niegdyś z tej okolicy nad Bałtyk się dostawały.

Rudy tutejsze (limonit) były topione i przerabiane i dostarczały okolicy przez kilka wieków żelaza rodzimego, co prawda, mniejszej wartości. Nazwa „Rudni", napotykana jeszcze w tutejszych lasach, oznacza miejsca, w których wytapiano rudę. Najdłużej trwał ten przemysł w Rudniku i Przyszowie kameralnym, gdzie jeszcze przed dwoma dziesiątkami lat widzieliśmy stosy żuzli, nagromadzonych dokoła. Bywały one rozrzucane po drogach leśnych, dla ich poprawy. Upadł ten przemysł nietyle z powodu wyczerpania rudy, bo ta jeszcze się w obfitości znajduje, ile przez koleje żelazne, które ceny żelaza zagranicznego, o wiele lepszego, znacznie obniżyły. Istnie-

[1]) Co prawda, przy pomocy rąk pańszczyźnianych.

[2]) W drugiej połowie minionego stulecia poczęto siać po piaskach żarnowiec (Sarothamnus), którego działanie na glebę jest bardzo powolne. Jest to krzew strąkowy, ulubiony karm zajęcy w zimie.

je także kilka hut szklanych, przerabiających szkło na towar pośledniej jakości.

Materjałem wywozowym bywało w tej części kraju zboże, drzewo, kamień, smoła, dziegieć, włókna konopne, sól, gips, wapno, węgle, a jest nim jeszcze tylko drzewo. Szły te przedmioty Wisłą do Gdańska, bo tam najlepiej za nie płacono. Ale dla wielu spławów, szczególnie towarowych, miejscem przeznaczenia była Warszawa. Zatrzymywały się one tam wszystkie, co niemało przyczyniało się do podniesienia ruchu handlowego i do ożywienia miasta. Ale materjał drzewny i zboże szły prosto do Gdańska. Łodzi i galarów, które służyły do przewiezienia towarów, nie odwożono napowrót do domu, lecz sprzedawano w porcie na opał, albo do innych celów. Przy budowaniu łodzi miano ten cel na pamięci. Flisacy i retmani wracali do domu piechotą. Ale w nowszych czasach ustępują dawne spławy coraz bardziej miejsca statkom parowym [1]).

Wisła, a po części i rzeki do niej wpadające, o ile są spławne, wywierały i wywierają jeszcze zawsze na życie i rozwój mieszkańców nadbrzeżnych wpływ niemały. Pominąwszy bowiem rybołówstwo, dające łatwy sposób do życia, dostarczają wszystkie wsie nadbrzeżne flisaków i retmanów (prowadzący spław), a niektóre osady wyłącznie tym przemysłem zajmują. Miasteczko Ulanów nad Sanem jeszcze obecnie jest przez samych prawie retmanów zamieszkałe. Flisacy galicyjscy wybierają się na całe lato, płyną na spławach (galary, tratwy) do samego Gdańska, skąd wracają piechotą do domu z zaoszczędzonemi kilkudziesięciu talarami w kieszeni. Mają więc z wyprawy dwojaką korzyść, bo znaczny zarobek i poznanie świata; wyrabia się w nich duch niezależności i swobody, jakoż pod umysłowym względem flisacy stali zawsze wyżej od rolników. Ale i dla życia reszty mieszkańców, tak mieszczan, jak i właścicieli wiejskich, na dorzeczu Wisły osiadłych, miała ta rzeka wielkie znaczenie. Wiadomą jest bowiem rzeczą, iż rzeki, chociaż rozdzielają osady na samym ich brzegu położone i utrudniają związek między niemi, to na swe dalsze dorzecze wywierają wpływ wręcz przeciwny, korzystny: przedstawiają bowiem linje komunikacyjne ułatwiające podróż po kraju, a zatem zbliżające ludzi do siebie, a następnie i przewóz towarów znowu na ich ceny i dobrobyt okolicy widoczny wpływ wywiera.

Takie zadanie spełniała Wisła przez wieki. Straciła ona to znaczenie na przestrzeni od Krakowa do Zawichosta dopiero od czasu, gdy koryto jej zostało przyjęte za granicę polityczną, rozdzielającą Galicję od Królestwa Polskiego.

Niemniej szkodliwie oddziaływa ta granica i na lud wiejski, bo, utrudniając swobodne przenoszenie się z miejsca na miejsce, utrudnia też szukanie zarobku i sposobu do życia. Ta okoliczność spowodowała inne złe wielkiej doniosłości. Zamiast bowiem puszczać się każdy na własną rękę za zarobkiem, wybierają się wieśniacy galicyjscy, przeważnie młodzież obojej płci, w porze robót polnych, gromadami do Królestwa (mówią, że idą „na bandosy"). Gdy jednakże odosobniony robotnik, znalazszy się pomiędzy obcemi, zostaje pod ich opieką, ale zarazem i nadzorem, to ciągnący i pracujący gromadą uważają się za niezależnych, popadają w rozpustę i powracają do domu, co prawda, z kilkunastu zaoszczędzonemi rublami w kieszeni, ale za to w stanie fizycznego i moralnego upadku. Nakoniec zaprowadzenie cła popsuło ludność nadbrzeżną przez rozpowszechnienie przemytnictwa. Trudnią się tym przemysłem przeważnie mniej strzeżeni, a pobudzani do tego przez żydów, wieśniacy galicyjscy; przemycają na całej, zarówno na suchej jak i na mokrej, granicy. Do Królestwa przenoszą wódkę, a wracają z tytoniem i herbatą. Ażeby ominąć straże, przekradają się zazwyczaj w nocy, używając dla niepoznania różnych podstępów, np. przebierania się i t. p.; pomimo to natykają się często na straże, przychodzi nieraz do rozlewu krwi i niejeden wieśniak zysk kilkunastu groszy życiem już przypłacił. Tak w walce o byt, doprowadzonej do zaciekłości rasowej, pracuje człowiek nad zniszczeniem tego, czym go matka przyroda dla poprawienia jego bytu i uprzyjemnienia jego życia obdarzyła.

---

[1]) O spławności Wisły i jej znaczeniu obecnym dla handlu dają wyobrażenie następujące liczby. W roku 1902 otrzymała Warszawa przez Wisłę różnych towarów na sumę 5.102.244 rb.; z Warszawy zaś wysłano w górę i w dół rzeki towarów na ogólną sumę 2,378,770 rub. Z dołu rzeki do Warszawy głównie dowożono mąkę, gips, kartofle, farby, cegły, skóry, pszenicę, owies, owoce, żyto, siarkę, sadło, smołę, cukier, cement, granit, wapno, kamienie i deski — na ogólną sumę 4,786,925 rub.; z góry zaś rzeki przychodziły: glina, kora, kartofle, pszenica, cukier, drzewo, mąka, otręby, sól, maszyny, meble, tratwy i owoce—na ogólną sumę 315,320 rub. Parostatków przyszło i wyszło z Warszawy 6.450

PIOTR LOTI.

INDJE.

w przekładzie
JÓZEFA JANKOWSKIEGO.

(*Ciąg dalszy.*)

X.

Taras do rady przy księżycu.

Księżyc wielki i blady, zawieszony na niebie zmierzchowym, światłem martwym nie prószy jeszcze na nowy gród ruin, który stokiem u nóg mych się rozpostarł. Słońce, chociaż już godzinę temu zaszło za góry okoliczne, świeci jeszcze olśnieniem żółtawym. I oto oczekuję nocy, sam jeden, w miejscu dzikim i pysznym, na wierzchołku tarasu dawnej siedziby królów, co jest jak olbrzymie gniazdo orła, a które dawniej roiło się od bogactw, niedostępne, postrach budzące; dziś puste, pod strażą kilku pacholków, pośrodku wielkiego miasta opuszczonego.

Wysoko już jestem w przestworzu; gdy pochylę się nad granitami, zbytkownie rzeźbionemi, które służą, jako balustrada dla tego tarasu, jestem nad przepaściami, w których głębi leżą szczątki gmachów, meczetów, świątyń, okazałości. Jestem bardzo wysoko w przestworzu, a jednak ze wszech stron panowanie jeszcze nade mną; skały, które dźwigają ten pałac, tulą się u środka koła gór jeszcze wyższych — i w krąg mnie wielkie szczyty z czerwonego kamienia, prawie prostopadłe, smukłe i jakby zaostrzone—dokoła zwieńczone murami warownemi, które idą najwyższym szlakiem szczytowym, a których blanki, jak zęby piły, odcinają się okrutnie od nieba żółtego. Ten mur powietrzny, budowany z bloków cyklopowych na wyżynach zaledwie dostępnych, zamykający krąg kilkunastu mil francuskich, jest jednym z tych dzieł przeszłości, zbijających nas z tropu śmiałością i ogromem; piętrzy tu się zanadto wysoko, trzyma się zanadto ufnie—i sprawia zawrót głowy. Dla grodu tego, oddawna zgasłego, i dla tego pałacu królewskiego, który u mych stóp, umyślono to ogrodzenie bajeczne, przeistoczono w fortecę cały łańcuch szczętów zamykających. I jeden tylko wylot tworzy dostęp do tego koła zaczarowanego: to rodzaj wielkiej szczeliny naturalnej, tam, w dole, przez którą widać dal pustyni, jak w ogniu płonącej.

By przybyć tu, wyruszyłem na schyłku dnia z Jeypory, która od dwu wieków zastąpiła, jako stolica, miasto Amber, te właśnie ruiny, któremi jestem otoczony.

Wyruszyłem z przewodnikami i końmi, których mi użyczył Maharadża z pięknego grodu różanego, następca tych królów, którzy zamieszkiwali, niegdyś pałace Amberu i taras, na który się dostałem. Śpieszyłem się z wyjazdem z tej Jeypory, uciekając od jej czarów świetnych i od jej grozy dantejskiej, by dostać się w okolicę, gdzie przynajmniej koniec już wszystkiego, gdzie panuje cisza śmierci.

Wiedziałem atoli, jaką jeszcze drogę trwogi niewysłownej będę musiał przebyć tuż po opuszczeniu wrót warownych: coś jak pole bitwy długo po pogromie; coś jak ścielisko trupów, długo schnących na słońcu, lecz trupów, które słyszysz, jak dyszą, które oto poruszą się, a nawet powstaną może, by gonić za mną, chwytać mnie biednemi rękoma ziemistemi, w szale gwałtownym modlenia...

I rzeczywiście, znalazłem to wszystko, czegom się obawiał.

(*C. d. n.*)

Z wycieczek botanicznych.

(*Dokończenie.*)

Teraz posuwamy się trochę dalej, aby wpłynąć między szuwary, zarastające brzeg, a wabiące oczy rozmaitością barw i kształtów na zielonym tle trzcin i tataraków. Z daleka już widzimy ogromne, złociste kwiaty kosaćca (Iris pseudocoris). Przy nim wzrasta roświta cz. łączeń baldaszkowy (Butemus umbellatus) o wielkich baldachach, złożonych z 6-io płatkowych

różowawych, o cielistym odcieniu, kwiatków. Jest ona jedyną u nas przedstawicielką roświtowatych.

Nie kwiatami, ale ładnemi liśćmi zwraca uwagę strzałka wodna czyli uszyca (sagittaria, sagittifolia) z rodz. żabińcowatych. Liście jej, w kształcie strzałek, oraz białe kwiaty w gronach wzniesione są ponad wodą. Niezwykle



Jeżogłówka pospolita (Sparganium simplex). *3b*—przecięcie poprzeczne liścia.

wygląda jeżogłówka pospolita (Sparganium simplex), kwiaty ma dwojakie: pręcikowe i słupkowe. Te drugie, dzięki długim, ostrym słupkom, robią wrażenie kolczastej główki. Ogromną różowawą wiechę kwiecistą posiada żabiniec babczany cz. babka wodna (Alisma plantago); liście jej duże, jajowate, zebrane w różyczkę, wystają ponad wodę.

Tło dla wszystkich wymienionych roślin stanowią wysokie, nieraz na trzy metry, trzciny (Phragmites communis), uwieńczone zielonemi, jeszcze nie dojrzałemi wiechami, które w końcu lata przybierają kolor czerwonawo-brunatny. Trochę niższa od trzciny jest pałka wodna cz. rogoża (Typha); widzimy tu dwa jej gatunki: jeden posiada kwiatostany w kształcie buławy, a kwiatki okryte puszkiem, jedne z tych kwiatostanów zawierają same słupkowe, inne same pręcikowe kwiaty; drugi ma tę buławę przewężoną w środku: górna część jaśniejszej barwy ma kwiaty pręcikowe, dolna słupkowe. Nasionka rogoży, również jak kwiatki, są silnie kosmate, co nadaje jej—przy złoto-brunatnej ich barwie—niezwykły i ładny wygląd. Obok wyrasta sitowie (Scirpus), mniej już zwracające uwagę, bo ani liście jego długie, walcowate i cienkie, ani kwiaty, zebrane w zielone kłoski, tworzące wiechę, nie wyglądają okazale. Najpospolitszy i najbardziej wszystkim znany z tej gromadki jest ajer, tatarskie ziele, cz. tatarak (Acorus calamus), przywodzący na myśl dni jego królowania: Zielone świątki, kiedy to domy i kościoły ozdabiamy jego długiemi, pachnącemi liśćmi. Liście te wyrastają z podziemnej łodygi. Kwiaty zebrane są w zielony, niepozorny kłosek.

Blizkim sąsiadem tataraku, ale bardzo dalekim mu z charakteru, jest szalej jadowity (Cicuta virosa), o kłączach podobnych do rzepy, liściach pierzastych i białych baldaszkach kwiatowych. Jest to trucizna tym straszniejsza, że nie zdradza się ani odrażającym zapachem, ani smakiem.

Z przyjemnością odwracamy oczy od tej podstępnej rośliny, zwracając się do żółtych gron kwiatowych tojeści pospolitej (Lisymachia tyrsiflora), rosnącej już na lądzie.

Do znajdującej się w pobliżu mięty wodnej (Mentha aquatica) dostać się już nie możemy, bo łódka tam nie wjedzie, a my musielibyśmy brodzić w błocie. Lecz oto, wychylając się, uchwyciliśmy liść z pozoru do trzciny należący, i ten rozciął nam do krwi palce; widzimy więc, że to nie jest trzcina, ale tuszyca (Careso), spokrewniona z sitowiem i rosnąca obficie przy wodach i na łąkach wilgotnych.



Łączeń baldaszkowaty czyli: Rozświta (Butomus umbellatus). *3b*—mieszek wielonasienny.

Po starannym rozejrzeniu się wokoło, widzimy, że niema tu już innych gatunków roślin; wypływamy więc z trzcin i skierowywamy się ku niezarosłemu brzegowi zatoki, aby tam wysiąść—ku wielkiej radości naszego przewoźnika, wzruszającego ramionami nad naszym zajęciem się pospolitemi chwastami.

A teraz baczność! może w tej stronie znajdziemy coś nowego.

W istocie zbliżamy się do bardziej oddalonej od rzeki, więc spokojniejszej, części stawu: brzeg łódki okrywa się jakimś zielonym nalotem, unoszącym się w obfitości na powierzchni wody; kożuch ten składa się z masy drobniutkich, okrągłych listeczków, opatrzonych jednym lub kilku korzoneczkami, i unoszących się swobodnie na wodzie. Roślinka ta nazywa się rzęsą (Lemna) i stanowi ulubione pożywienie kaczek, które prędko z niej oczyszczają położone blizko wsi stawy. Na rzęsie możemy zauważyć jakieś galaretowate sznureczki, to znowu roślina, zwana trzęsidło (Nostoc), należąca do gromady wodorostów (Algae). Ale trzeba nam uważniej rozpatrzeć się wokoło w wodzie, bo niemiły zapach, wydobywający się z nadbrzeżnego szlamu, świadczy, że znajdziemy tu więcej wodorostów.



Kosaciec. Kosacz. (Iris pseudacorus).

Rzeczywiście, szarpnąwszy silnie sploty, otaczające łódź, wyciągamy stamtąd pełną garść zielonych włosów, co mimowoli sprowadza na myśl podania o starcach wodnych i rusałkach. Na szczęście, włosy te są rośliną, zwaną skrętnica (Spirogyra). Widzimy tu także brunatne kłaczki, oblepione śluzowatą masą—to okrzemki (Diatomaceae). Błona ich komórek zawiera wiele krzemionki, tak, że po śmierci rośliny pozostaje pancerz, mający jej kształt. Przy samym brzegu skupiły się śluzowe nici sinic (Cyanophiceae), pokrewnych trzęsidłu, niekiedy poruszające się rytmicznie i wydające woń wstrętną.

Wreszcie wychodzimy na brzeg, depcąc nielitościwie śliczne niezapominajki, czyli niezabudki, zwane też żabim oczkiem (Myosotis). Na łodyżkach, pokrytych włochatemi listeczkami—dla której to przyczyny niezapominajkę zaliczamy do szorstkolistnych (Borraginaceae)—osadzone są w skrętce drobne, błękitne kwiatki o 5-iu płatkach i żółtych środeczkach. Przy niezapominajce rośnie kaczyniec błotny (Caltha palustris) o dużych liściach: z jego wiosennych, ładnych, żółtych kwiatów zostały już tylko mieszki nasienne, ułożone w gwiazdkę. Dalej na łące widzimy pełno różnobarwnego kwiecia, ale nie należy ono do gatunków, któremi się zajmujemy.

W innych okolicach naszego kraju znaleźlibyśmy jeszcze kilka gatunków roślin wodnych np. paprocie wodne (Hydropterides), niepodobne zupełnie do pospolitych paproci lądowych. Ciekawym bardzo jest dość często spotykany pływacz (Utricularia). Łodyga rozgałęziona opatrzona jest nitkowatemi kulkami i zanurzona w wodzie; grona żółtych kwiatów wyrastają nad powierzchnię. Listki posiadają liczne pęcherzyki, które służą do chwytania i strawiania drobnych skorupiaków, owadów i t. p. Równie krwiożercza jest Bankotka pęcherzykowata (Aldrovanda vesiculosa), która chwyta owady za pomocą drażliwych blaszek liściowych. Spotykamy ją w Krakowskim.

Rośliny wyższe, zamieszkujące wody, różnią się niektóremi szczegółami budowy od roślin lądowych.

O ile roślina przytwierdzona jest do dna, to posiada korzenie zwykłe—często kłącz; o ile jednak pływa po powierzchni — ma korzonki nitkowate, np. rzęsa U pierwszych gatunków ogonki liściowe lub same łodygi są przeważnie bardzo długie; liście albo są zanurzone w wodzie—i te mają kształt pierzasty, albo pływają po wodzie i wtedy są naczęściej okrągławe i grube, albo całkowicie wystają nad wodę; takie nadwodne bywają lancetowate, jajowate i t. p.

Większość roślin wodnych posiada dwa różne gatunki liści. Rośliny niższe t. j. wodorosty posiadają zupełnie odrębną budowę. Pobierają one wodę z rozpuszczonemi solami mineralnemi całą swą powierzchnią (zwykle rośliny posługują się w tym razie włośnikami korzonków); fakt ten można zauważyć i u wielu wyższych wodnych, np. u pływacza.

Najtrudniejszą dla roślin wodnych sprawę stanowi opylanie kwiatów, ale radzą one sobie bardzo dowcipnie: kwiaty ich zwykle wyrastają na długich szypułkach nad powierzchnię wody, opylenie odbywa się więc nad wodą. Wiele roślin na czas kwitnienia wyrywa się z korzeniem i wypływa nad wodę, np. osoka aloesowa. Po zapłodnieniu kwiaty zostają napowrót wciągnięte do wody, tam dojrzewa owoc i opada na dno.

Inne rośliny dozwalają owocom dojrzewać na powietrzu, by nasionkom ułatwić podróż wodną—ku czemu zaopatrzone są w twardą skorupkę—lub powietrzną, jak to czynią np.

nasionka rogoży, obrośnięte delikatnym puszkiem. Wodorosty wydają zwykle zarodniki delikatne, wytwarzające natychmiast nowy osobnik; zarodniki jesienne są jednak całkiem odmienne: twarde i trwałe, aby mogły przetrwać zimę, zagrzebane w mule.

Wielu ciekawych rzeczy można się dowiedzieć, zbadawszy stosunek roślin wodnych do zamieszkujących wśród nich żyjątek: wiele tu zawiści i prześladowań, ale też wiele przyjaźni i pomocy, jaką rośliny udzielają zwierzętom i odwrotnie.

Lecz oto słychać zdaleka gwizdawkę parowca: trzeba bardzo pośpieszać, aby się jeszcze dostać na pokład i wrócić tąż samą drogą do Warszawy.

J. Wodzińska.

LEOPOLD JANIKOWSKI.

Z podróży do Afryki.

(Ciąg dalszy.)

Przed zachodem słońca byliśmy u celu, t. j. w misji angielskiej, której terytorjum leży na prawo, tuż przy głównej stolicy Bakundu. Misjonarz oczekiwał nas oddawna, gdyż jeszcze przy ujściu *Mungo*, gdy już cała rzeka, za pomocą bębna *„tam-tam"* była zawiadomioną o celu naszej podróży, ilości osób, a nawet jakie pakunki wieziemy.

Stolica Bakundu różni się bardzo już zewnętrznym wyglądem od miast innych szczepów. Miasto wielkie, tworzy głównie jedną, szeroką ulicę. Dzieli się na 3 części, zarządzane przez trzech kacyków. Głównym jest *Mambeleh*, dalej *Namueko* i *Likabo*. Najwpływowszym, którego się inni obawiają, jest *Namueko*. Murzyn to chytry, podstępny i nadzwyczaj chciwy.

Każda z dzielnic miasta posiada oddzielny dom *„dżudżu"*, napełniony najróżniejszemi wyobrażeniami bożków, zostających pod strażą kapłanów.

Domy swoje budują bakundyjczycy z bambusu i drzewa, są one bardzo obszerne, długie, obrzucane gliną, często bielone z malowaniami niezgrabnemi. Na ścianach frontowych można np. spostrzedz rysunki ciemną lub czerwoną farbą — to głów ludzkich, to zwierząt. Zwykle jeden dom zajmują dwie rodziny—po połowie. Bogatsi mają w tyle, w podwórzach, dodatkowe domki i zabudowania.

Religja bakundyjczyków różni się bardzo od innych, nietyle może treścią, ile odmiennemi obrządkami. Bo co do nazwy bożków, te się będą zmieniały w każdym kraju. Wierzą bakundyjczycy w dobre i złe duchy. Na cześć jednych i drugich urządzają uroczystości, podczas których kapłani, poubierani fantastycznie, np. w skóry lamparcie i takież maski, obnoszą procesjonalnie lub tańcząc, różne *„dżudżu"*.

Kapłani ci, sami mądrzejsi od innych, niebardzo wierzą w świętość powierzonych swej straży przedmiotów. Podczas mojego pobytu np. chciałem nabyć do kolekcji owe maski i ubrania lamparcie. Na propozycję, zrobioną w cztery oczy, skuszeni ofiarowanym w zamian ubraniem ponsowym, zgodzili się owi fetyszerzy wykraść żądane przedmioty i uskutecznili to w nocy, nb. nie wiedząc jeden o drugim. Gdyby nie obawa, iż może to wyjść na jaw, posprzedawaliby i bożków.

Kradzież, podobnie jak wszędzie, jest w Bakundu bardzo surowo karaną. Oryginalną jest ceremonja, jaką urządzają w celu wykrycia sprawcy kradzieży. Obawą zmuszają go do przyznania się.

Kacykowie wtedy zwołują wszystką ludność, fetyszerzy się schodzą i wystawiają figurę złego bożka, który rozgniewany ma siłę szkodzić ludziom, rzucać śmierć i t. p.

Fetyszer, lub król, ma przemowę do zgromadzonych. Najpierw przypomina potęgę i złość wystawionego fetysza, że nikt nie ma pojęcia, co on może, rozgniewawszy się, narobić nieszczęścia, lepiej więc nie drażnić go. Niech ten, co ukradł, przyzna się, póki czas,

niech nie sprowadza nieszczęścia na siebie i rodzinę. Niepokój pomiędzy zgromadzeniem, lecz milczenie. Wtedy rozpalają do czerwoności duży pręt żelazny i fetyszer znów mówi:

„Ponieważ niema innej rady, musimy rozpocząć męczarnie fetysza. Ten pręt żelazny, rozpalony, za chwilę wbiję mu w brzuch—będzie strasznie, strasznie cierpiał... Wściekły pozabija sprawców bólu, t.j. złodzieja i tych wszystkich, którzy należeli do kradzieży. Przyznawajcie się, przyznawajcie! za chwilę będzie za późno!"

Tu już winni zaczynają wskazywać sprawcę, przerażenie na wszystkich twarzach. Widzi to fetyszer i nie śpieszy się. Bierze młot, przystępuje do bożka, już chce wbijać żelazo i w ostatniej sekundzie wstrzymuje się.

„Nie",—powiada—„pręt już ostygł,—trzeba na nowo rozpalić; im więcej będzie cierpiał, tym straszniejsza kara".

Grając w ten sposób na nerwach zabobonnych krajowców, zawsze doprowadzą do tego, iż winny przyzna się, zwróci szkodę i zapłaci karę.

Gdyby zaś było inaczej, wtedy kapłani, dla podtrzymania swej powagi i wiary, otrują podejrzaną osobistość, a ludność ma dowód, iż bożek go ukarał.

Obrzędy pogrzebowe są również odmienne, często nawet barbarzyńskie. I tak: ciał zmarłych nie chowają w ziemię lecz, owinąwszy w tkaniny lub liście bananowe, wynoszą szybko w głąb lasu. Europejczyk nie widział tego miejsca, z opowiadania jednak krajowców wiemy, iż jest to jakiś loch, jakby głęboka studnia skalista; na dole jej przepływa woda, prawdopodobnie źródło, które się łączy podziemnym kanałem z rzeką. Otóż do owego lochu wrzucają ciała. Oburza to, iż podobnie postępują z ciężko choremi. Jeżeli, podług zdania doktorów i fetyszerów, człowiek nie może już wyjść z choroby, jest umierającym ciężarem dla obecnych, wtedy skrępowanego nieszczęśliwca również wrzucają do tej jamy.

Istnieją tu rozmaite prawa, mające pewien związek z religją lecz stanowione przez kapłanów a ogłaszane przez kacyków, bez żadnej podstawy racjonalnej. I tak np. w niektórych plemionach górskich nie jedzą wieprzowiny, szczególniej młode dziewczyny przed pójściem za mąż. Nadbrzeżni rybacy nie jedzą baraniny, motywując tym, iż fetysz *„Dzieńgu"*, dając ludziom dosyć ryb, gniewa się o zabijanie bezpotrzebne inwentarza i t. p. W Bakundu zaś został wydany oddawna surowy zakaz jedzenia kur.

Dlaczego? Nikt nie wie. Za złamanie zakazu wyznaczono karę śmierci.

Każdy jednak z krajowców chowa wiele drobiu i sprzedaje go kameruńczykom lub białym, biorąc za sztukę zaledwie po parę liści tytoniu. Możnaby przypuścić, iż podstępni kameruńczycy podsunęli myśl owego prawa, aby następnie wyzyskiwać, kupując prowizję za bezcen.

Zakaz jednak nie dotyczy królów — ci mogą jeść wszystko.

Pomiędzy sąsiedniemi miastami, jak wszędzie, istnieją zatargi bezustanne, kończące się zwykle zbrojnemi napadami. Często jednak krajowcy, znudzeni zbyt długą wendetą, chcą załatwić spór pokojowo. Wtedy wybierają jakiś punkt neutralny, w którym obie strony mają się stawić w oznaczonym czasie. Aby zaś pamiętali o terminie, każdy z interesowanych dostaje paczkę cienkich pręcików bambusowych. I tak np., gdy zebranie wyznaczono za 2 tygodnie—wiążą w pęczki po 14 drewienek. Ów kalendarz swoisty zawiesza krajowiec nad swoim łóżkiem i codziennie, wstając, niszczy po jednym pręciku; gdy dojdzie do ostatniego jest to dzień *„palawru"*.

Stroi się więc w najlepsze swoje tkaniny, naszyjnik i hełm skórzany; jeżeli droga daleka, zabiera broń palną, jeżeli blizka — dzidę lub kij góralski w rękę i udaje się na miejsce. Kacykowie i wybitniejsi krajowcy, tj. mniejsi naczelnicy miast, kładą na głowy rodzaj czapeczek z czerwonych piór papuzich; w ręce każdy z nich trzyma miotełkę, zrobioną z włókien roślinnych, albo z krowiego ogona. Jest to oznaka godności, do której mają prawo tylko wybrani, niejako arystokracja murzyńska. Zgromadzeni siadają w koło, na placu palawrowym, w cieniu olbrzymich drzew, królowie często pod baldachinami w formie parasola.

Obie strony interesowane ustawiają się po bokach. Rozpoczynają się przemowy kilkogodzinne, odbiegające od przedmiotu. Murzyni lubią mówić wiele, rozprawiać przy każdej zdarzonej sposobności. Zabierają więc głos, cofając się w przeszłość, o ile zapamiętać mogą. Przytaczają oderwane fakta, wyliczają potęgę i bogactwo zmarłych kacyków lub członków swej rodziny, spory, jakie oni rozsądzali i t. p. Słowem, muszą się wygadać, zmęczyć siebie i drugich, dopiero wtedy przystępują do sprawy.

Każde z miast posiada niby uczonych, sławnych mówców. Ci więc podejmują się obrony swojej partji. Sędziami są naczelnicy i ludzie starsi. Obrońca wstępuje w środek koła; przewodniczący zgromadzeniu podnosi swoją

miotełkę, potrząsa nią w różne strony; następuje w tej chwili cisza. Adwokat ma głos. Stara się on popisać przedewszystkim swoją wymową. Przytacza różne przykłady podobnych sporów, dowodzi niewinności swego klienta. Aby zaś usposobić dobrze sędziów i zgromadzenie, stara się ich zabawić, rozśmieszyć. Opowiada różne komiczne epizody z polowania, udaje głosy zwierząt, np. ryk słonia, lamparta, kwik prosięcia, szczekanie i wycie psa, krzyk małpy, naśladuje ruchy i pozy znanych osób i t. p. Cały komplet sądzących wybucha głośnym śmiechem, obrońca korzysta z tej chwili, robi zwrot do sprawy i, dowodząc jeszcze raz niewinności, prosi o niezważanie na stronę przeciwną i wydanie przychylnego wyroku. Poczym, śród oklasków i oznak zadowolenia, cofa się w tłum.

(C. d. n.)

Rys historyczny rozwoju sztuki żeglarskiej.

napisał

MARJUSZ ZARUSKI,

szturman marynarki handlowej.

(Ciąg dalszy.)

Ludy północne, z któremi rzymianie prowadzili wojny, przewyższały ich znajomością żeglarstwa i budowy okrętów. Cezar pisze o Wenetach (najpotężniejszy z ludów aremoryckich w Bretanji), których siłą zbrojną pokonał, że okręty ich były tak wielkie, iż statki rzymskie nie zdołały brać ich wstępnym bojem, przytym tak mocne, że *rostra* rzymskie nie mogły ich wcale uszkodzić; miały też żagle ze skóry, a kotwice przytwierdzone do żelaznych łańcuchów. Wiosła na okrętach Wenetów były tylko środkiem pomocniczym do zwrotów: główny motor stanowiły żagle. Świadectwo to Cezara jest dowodem, że na morzach północnych sztuka żeglarska w tym samym czasie stała już na znacznym stopniu rozwoju. Szczególnie Skandynawi, którzy na kilka wieków przed Kolumbem dobijali się do brzegów Ameryki a w X w. mieli już na Nju-Faundlendzie kolonje, przodowali innym odwagą i wiedzą żeglarską.

W okresie wieków średnich sztuka żeglarska zrobiła bardzo małe postępy. Mroki nieuctwa i przesądów, które nieprzejrzanym całunem spowiły Europę, wojny i rozterki wewnętrzne nie mogły sprzyjać rozwojowi żeglarstwa. To też żegluga w tym czasie odbywała się na małych okrętach—głównie na morzu Śródziemnym, gdzie bandera z wizerunkiem św. Marka zdobiła najlepsze ówczesne okręty—*galery* Wenecji. Były to statki, zbudowane na wzór starożytnych—na poły żaglowe, na poły wiosłowe. Długość ich dosięgała 170 stóp, miały zwykle trzy maszty z łacińskiemi żaglami i 50 wioseł. Okręty tego typu bardzo długo dominowały na morzach południowych. Z nich przeważnie składały się floty rycerzy krzyżowych. Wiadomo zresztą, że w wyprawie Ryszarda Lwie Serce (1190 r.) brało udział dziewięć okrętów „nadzwyczajnej wielkości". Ryszard wziął do niewoli okręt saracenów, który mógł pomieścić w podpokładach 1500 ludzi. Musiał zatym to być istotnie duży okręt. Takie jednak wzory niewielu miały naśladowców i okręty „nadzwyczajnej wielkości" w okresie średniowiecza—rzec można—nie istniały. Henryk VII, król angielski (1456—1509 r.) w liście do papieża pisał:

„Galeasy idą zwykle z Wenecji do Anglji siedem miesięcy, a czasem nawet dłużej. Okręty powinny być gotowe do odpłynięcia z Anglji w maju i zaledwie w ostatnich dniach września przepłyną przez cieśninę Marokańską. Trudno przytym znaleźć doświadczonych marynarzy, którzy by potrafili kierować okrętami w tak niebezpiecznej żegludze". Słowa te jednego z królów, którzy nie szczędzili zabiegów w celu podniesienia żeglarstwa w Anglji, najlepiej ilustrują ówczesny stan sztuki żeglarskiej w Europie.

Wiek XV stanowi ważną i poniekąd przełomową epokę w rozwoju żeglarstwa. Wypadki zewnętrzne, niezależne nawet od ducha ludzkiego, bardzo często są łożyskiem ujmującym i skierowującym nurt jego w odpowiednim kierunku. Nie jest to ujmą dla gienjuszu twórczego; świadczy tylko o zdolności jego przystosowania się i o związku pomiędzy rzeczami a myślą ludzką. Jednym z takich przygodnych, bo nieopartych na przygotowawczych badaniach naukowych, wypadków, było wynalezienie busoli morskiej przez Flawjusza Dżojo w roku 1300. *) Umożliwiło ono dalsze, na pełnym morzu, podróże, które ostatecznie w wieku XV-ym doprowadziły do świetnych odkryć Kolumba, Wasko-de-Gamy (Vasco-de-Gama) i Magaljensa (Magalhaens, Magellan).

W tym okresie czasu, t. j. w w. XIV i XV weszły w użycie statki wyłącznie żaglowe. Wyparły one ostatecznie nie nadające się do żeglugi oceanowej galery. Te pierwsze żaglowce, były to statki, zbliżone pod względem ożaglenia do dzisiejszych lugrów.

W ogóle w XV wieku były w użyciu następujące okręty:

Nawy — około 600 tonn pojemności ładunkowej, z dwoma lub trzema masztami i kasztelem na nosie.

Karawele—mniejsze od naw.

Karraki—mniejsze od naw.

Barże i *barki* – niekiedy z for-kasztelem

Balingery—awizo bez kasztelu.

Galery—żaglowo-wiosłowe.

Tegoż typu co i galery:

Reaty, kapitany, galeasy, galeony (galeoty) i *półgalery*.

Pinki, pinasy, Spinasy małe statki. Inne statki tegoż typu: *krejery, huki, gabary*.

*) Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że istotnym wynalazcą kompasu był Paulus Venetus, który przywiózł do Europy kompas około r. 1260-go. Busola znaną była chińczykom na 2300 lat przed Chrystusem. Stamtąd prawdopodobnie dostała się do Europy *Przyp. aut.)*

Hoje.

Plejty—małe statki.

Kok-baty – małe szalupy.

Mniej więcej w tym samym czasie hiszpanie i portugalczycy posiedli sztukę żeglowania pod wiatr i lawirowania.

Prawdziwy jednak postęp w budownictwie okrętowym i wiedzy żeglarskiej zaczyna się dopiero w wieku XVII-ym, kiedy król Jakób I angielski nadał „mistrzowi Wardenowi i towarzystwu sztuki czyli tajemnicy budownictwa okrętowego” chartę, uprawniającą to towarzystwo do nadzorowania budowy statków w całej Anglji. Pierwszy budowniczy tego towarzystwa, Fineas Pet, a szczególnie syn jego, Piotr, przez ulepszenia w konstrukcji statków oddali wielkie usługi żeglarstwu. Piotr Pet w 1646-ym roku zbudował pierwszą fregatę.

„Constant Warwick”—taką bowiem nazwę miała fregata Peta—był wcale małym okrętem: długość jego wynosiła zaledwie 85 stóp, szerokość 26 stóp, pojemność ładunkowa 315 tonn. Nie bacząc jednak na małe rozmiary, chyżością biegu i zwrotnością przewyższał inne okręty, tak, że w wojnie holenderskiej, którą wtedy Anglja prowadziła, stał się postrachem floty nieprzyjacielskiej i w krótkim przeciągu czasu tyle odebrał złota od holendrów, że, według świadectwa Ewelina, złoto to nie mogłoby się pomieścić w jego podpokładach.

Na wiek XVII przypada też pierwsza praca naukowa o żeglarstwie. Autorem jej był sir Walter Ralejg (Releigh). Matematyczne wszakże wyliczenia do budownictwa okrętowego wprowadza, dopiero w kilkanaście lat potym, architekt Antoni Din. Od tego czasu teorja staje się nieodłączną towarzyszką i mistrzynią doświadczenia żeglarzy. Din pierwszy wprowadził ścisłe pomiary różnych części okrętów. Tablice, ułożone przez niego, świadczą, że długość statków ówczesnyah nie przewyższała 125 stóp pojemność zaś ładunkowa 433 tonn.

(C. d. n.)

Książki i Czasopisma.

Biblioteka naukowa. Dwutygodnik. (Nr. 16-ty). Dokończenie ar ykułu H. Moutona „O różnych rodzajach promieni”. W „Kartkach z dziejów krytyki literackiej“ p. W. Feldman pisze o Włodzimierzu Spasowiczu, tak kończąc swoje studjum: „Spasowicz rzuca pięknyaforyzm: „Wielki człowiek, jak posąg, stać może tylko na podstawie narodu”. Od tej podstawy Spasowicz przez los został odcięty”. Znany czytelnikom naszym inż. Edmund Libański podaje ciekawe szczegóły „Ze świata techniki i przyrody”. O ruchu spółdzielczym rozwodzi się dalej p. Wojciech Szukiewicz na podstawie dzieła Karola Gida. Z oddzielną paginacją książkową wychodzą, w dalszym ciągu, „Pojęcia i teorje chemji” przez d-ra Ludwika Brunnera.

Wiadomości fotograficzne. (Zeszyt 16-ty). Większą część zeszytu zajęła ciekawa praca Jana Szczepanika, p. t. „Fotografja w barwach naturalnych". Działy drobnych przepisów, rozmaitości i bibliografji dopełniają całości. Trzy piękne światłodruki na oddzielnych kartach.

O racjonalnym rozwoju kredytu dla rzemieślników w Królestwie Polskim. Opracował Marcin Osmała. Jest to referat w bardzo doniosłej sprawie wyszukania źródła taniego kredytu dla rzemieślników, a to przez wprowadzenie do komitetów dyskontowych Banku Państwa rzemieślników, informujących należycie o tym, czy kandydat zasługuje na otworzenie mu kredytu. Ciekawe światło rzuca broszurka p. Osmały na tajniki zakulisowe naszych sekcji: bo oto referat ten prezydjum sekcji rzemiosł, wraz z władzami oddziału, odrzuciło 3-krotnie w ciągu szeregu lat; obecnie zaś, gdy go zalecił komitet petersburski, pozwoliło odczytać w sekcji i podziękowało władzom T-wa „za chęć przyjścia z pomocą rzemieślnikom", prosząc je zarazem o zorganizowanie w oddziałach Banku Państwa rzemieślniczych komitetów dyskontowych. W pożytecznej broszurce p. Osmały niepotrzebny jest zgoła cały ustęp—humorystyczny, na tle monologu Junoszy, oraz głosy prasy o wartości referatu.

Słówko w sprawie feminizmu, przez d-ra Kazimierza Niedzielskiego. (Odbitka z „Kroniki lekarskiej"). Autor jest zdecydowanym przeciwnikiem „zapędów feministycznych", zwalczając je i jako lekarz, i jako obserwator objawów życiowych. Dowodzenia lekarza o różnicach fizjologicznych osobników obu płci, oparte na danych naukowych, nie podlegają dyskusji; za to poglądy społeczne, przeważnie subjektywno-gołosłowne, nie przekonają nikogo, kto w kobiecie uznaje spółobywatela-spółpracownika.

H.

Kronika Esperantyczna.

„Progresado estas vivo." „Restado estas morto."

Kursa języka Esperanto.

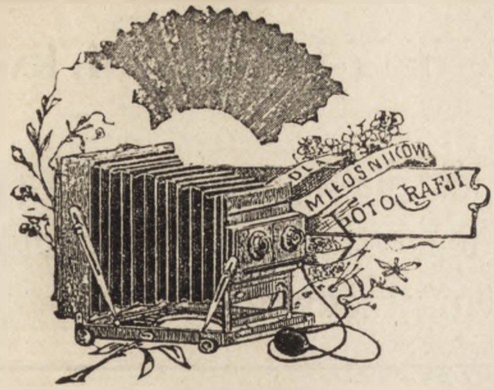
Kto przeglądał podany przez nas niedawno długi wykaz Towarzystw i klubów esperantycznych, ten nieraz może zadawał sobie pytanie: w jaki też sposób najskuteczniej Towarzystwa te i kluby propagują ideę języka Esperanto? Otóż wszyscy wybitniejsi członkowie Towarzystw esperantycznych urządzają głównie—jak łatwo się zresztą domyśleć—odczyty, kursa, wystawy i t. p. Odczyty, zwłaszcza w Anglji, Francji, Belgji, Szwajcarji itd. itd., gromadzić zwykły tłumy inteligencji tamtejszej, a wygłaszają je częstokroć członkowie różnych Akademji nauk, profesorowie różnych uniwersytetów. Każdy, tej kwestji poświęcony, a umiejętnie opracowany, odczyt wywoływać zwykł niemal zawsze prawdziwą *potrzebę* jak najrychlejszego założenia *stałych kursów* języka Esperanto. Zjednani dlań bowiem słuchacze sami już najczęściej nie przestają się ich domagać. Wszędzie też bez wyjątku, gdzie się tylko znajdą zręczni a wymowni prelegenci — wielka ta idea rozszerza się wkrótce, w sposób prawdziwie imponujący. Kiedyż, kiedyż nakoniec znajdzie się ktoś i u nas, ktoś obdarzony, jak tamci, niepospolitym darem słowa i niemniej gruntowną znajomością przedmiotu? Co do nas, nie widzimy w tej chwili nikogo drugiego w Polsce, ktoby mógł ciężkie to zadanie podjąć skuteczniej, niż jeden z najzasłużeńszych esperantystów polskich—p. Leo Belmont. Wielką też radość sprawiła nam wiadomość, podana niedawno przez czasopisma, iż „w roku bieżącym na *Kursach handlowych* p. S. Chwatczyńskiego, wykładany będzie przez p. Belmonta język Esperanto, na który zapisać się może każdy w kancelarji kursów". (Nowy-Świat, Nr. 4). O wiele jednak, sądzimy, byłoby dziś pożądańszym, a nawet *na razie* o wiele konieczniejszym, aby p. Belmont, idąc za przykładem wybitniejszych esperantystów obcych, zechciał rozpocząć w Warszawie działalność swą propagacyjną głównie i przedewszystkiem od *odczytów* o języku Esperanto. Po odczytach tych dopiero powinnyby nastąpić *kursa*, a w tym ostatnim kierunku działalności znalazłby p. Belmont niechybnie dwóch, co się zowie, dzielnych towarzyszów pracy, dwóch świetnych szermierzy idei esperantycznej i niemniej jak on sam, zasłużonych esperantystów. Mówimy tu oczywiście o zamieszkałych w Warszawie: p. Antonim Grabowskim i d rze Kazimierzu Beinie, obu zajmujących wybitne stanowisko śród esperantystów europejskich, obu znakomicie władających językiem Esperanto i obu zarazem wysoce utalentowanych tłómaczy na język Esperanto najpopularniejszych poetów i pisarzy polskich. Co się tyczy p. Antoniego Grabowskiego, dodać tu jeszcze musimy, że jest to jeden z najdawniejszych i najwybitniejszych poetów esperantycznych, władający przedewszystkim iście mistrzowską formą i barwnością języka. Nie bez zasady więc twierdzimy, iż Grabowski i Bein—jako najgruntowniejsi u nas znawcy języka Esperanto (obok naturalnie gienjalnego jego twórcy i p. Leo Belmonta)—mogliby i powinni bezwarunkowo, równocześnie z p Belmontem urządzić w Warszawie, tak upragnione już przez wielu—*Kursa* języka Esperanto.

Tyle o sprawie tej u nas. Jak dotychczas, przedstawia się ona smutno, bardzo smutno. Miejmy jednak nadzieję! Jutrzenka już świta...

Nielepiej przed laty bywało i gdzieindziej Oto i owe tak imponujące dziś swoją liczbą. kursa języka Esperanto za granicą — nie odrazu, rzecz jasna, rozwinęły się do tego stopnia. Początki zwłaszcza bardzo były skromne. Pierwsze, o ile wiemy, kursa języka Esperanto powstały jeszcze w r. 1889, w Norymberdze, dzięki staraniom i zabiegom Chr. Schmidta, prezydenta pierwszego zarazem klubu esperantysów, który urządził owe kursa przy norymberskim klubie handlowym: „Merkury" i przy tamtejszym klubie gimnastycznym.

Potem dopiero, w roku 1898, spotykamy w czasopiśmie „*Lingvo Internacia*" (ze stycznia t. r.) króciutką wzmiankę, iż zamieszkały w Petersburgu lingwista p. A. Jeczinac (Dmitrowka Nr. 1), właściciel zakładu naukowego języków obcych, wprowadził, między innemi, do programu swej szkoły i wykłady języka Esperanto.

(*C. d. n.*) *A. B B.*



ODPOWIEDZI.

W-mu J. Białaczewskiemu w Korcu. Odpowiadamy po kolei na zapytania Sz. Pana. 1) Objektyw anastygmat Goerza serji III nadaje się dobrze do robienia wnętrz np. kościoła, gdyż przy budowie anastygmatów starano się, aby przy dużej sile świetlnej zachować możliwie *znaczny kąt* ostrego pola widzenia. Można więc powiedzieć, że anastygmaty, których kąty pola obrazu wynoszą od 80° do 90°, dają się zaliczyć do szerokokątnych. Jeżeli jednak odległość, z której zdejmujemy, jest bardzo blizka, to jest w danym przypadku długość kościoła niewielka i wskutek tego, nie mogąc się cofnąć, nie otrzymujemy całości od brzegu do brzegu, lepiej jest użyć objektywu specjalnie szerokokątnego, objektywy bowiem tego rodzaju, przy krótkiej bardzo odległości ogniskowej, posiadają większy kąt pola obrazu, mniej więcej od 80° do 110°. Natomiast objektywy szerokokątne specjalne są ciemniejsze znacznie od anastygmatów Goerza, więc eksponować trzeba znacznie dłużej.

Co zaś się tyczy tego, jak długo eksponować i przy jakiej djafragmie, zależy to od pory roku, godziny, mniejszego lub większego oświetlenia kościoła, rodzaju klisz itp. Radzimy zdjąć kościół wewnątrz przy świetle błyskawicznym, wybuchowym lub, dajmy na to, jeżeli określimy ekspozycję w rannych godzinach na 20 sekund, eksponować dłużej znacznie, a potym zacząć wywoływanie z bromkiem. Jeżeli po $1/2$ minuty wywoływania obraz się nie pokaże, wtedy wziąć wywoływacz bez bromku i po opłókaniu kliszy dalej wywoływać. Ekspozycja najlepiej nabywa się wprawą; z tablic ekspozycji najlepsze są: Burtona, oraz Gaumonta. Ułatwiają one nabycie wprawy w ekspozycji.

2) Objektyw anastygmat Goerza nadaje się zupełnie do robienia kopji obrazów, przy odpowiednim, doskonałym ustawieniu zdejmowanego obrazu.

3) Ponieważ anastygmaty dają bez djafragmy obrazy bardzo ostre, użycie djafragmy powinno być umiarkowane. Jeżeli światło jest zbyt silne, to lepiej przy ekspozycji widoków wziąć szybszą migawkę, niż zbyt zmniejszać djafragmę.

Zaleca się użycie djafragmy wówczas, kiedy zdejmujemy widoki dość blizkie wraz z przedmiotami znajdującemi się w rozmaitej odległości; przez użycie djafragmy zwiększamy głębokość układu soczewek a tym samym ostrość przedmiotów znajdujących się w różnorodnej odległości.

4) Używania małej djafragmy przy zdjęciach osób (portretów) lub grup nie zalecamy, gdyż portrety nie wychodzą plastycznie a na twarzach występują widoczniej zmarszczki, piegi, zbyt ostro uwydatniają się rysy i klisza wymaga dużo retuszu.

5) Farby lazurowe, białkowe Wagnera są dobre do kolorowania kart pocztowych i bromosrebrnych odbitek, rozcieńczają się wodą dobrze. Przy farbach tych załącza się słoik z benzyną, którą się przemywa odbitkę, aby ją pozbawić tłuszczu i ułatwić przyjęcie farby, oraz farba gruntowa, służąca jako podkład.

Najlepszemi jednak a właściwie najłatwiejszemi w użyciu farbami przezroczystemi dla niemalarzy do kolorowania kart i odbitek bromosrebrnych są farby anilinowe Jacobsona, bądź w płynie, bądź w tutkach lub kawałkach, rozpuszczają się dobrze w wodzie. Dobremi są również Wagnera Künstlerlazurwasser Farben sorte Nr. 21. Wielki połysk po kolorowaniu można nadać umiejętnym użyciem płynu positiv-lack, mniejszy farbą białkową bezbarwną.

6) Karty z podobiznami artystek warszawskich, sprzedawane w Warszawie, w sklepach, są wykonane przeważnie sposobem fotodrukarskim (u Wierzbickiego). sposobem zaś fotograficznym wykonywają te zakłady, które największy zbiór zdjęć artystek posiadają, a więc zakłady fotograficzne: M. Pusch (Miodowa 1), B. Mieszkowski (Nowy Świat 27), J. Golcz (Hotel Bristol), Sigismond (Marszałkowska), J. Mieczkowski (Nowo-Miodowa 1).

Wł. Karoli.

Atrament do pisania na szkle.

benzyna	100 cm^3.
asfalt	10 g.
kopal	10 g.

Po rozpuszczeniu asfaltu dodaje się dopiero kopal. Podczas pisania, za pomocą delikatnego pędzla, zaleca się trzymanie przedmiotu w położeniu poziomym i pozostawienie go w tej pozycji aż do zupełnego wyschnięcia atramentu.

„Wiad. fotogr."

Odpowiedzi Redakcji.

Wskutek zmiany układu n-ru 36-go, już po rewizji redakcyjnej, artykulik „Kongres armji zbawienia" w „Rozmaitościach" dostał się do n-ru bez korekty; tym tylko daje się usprawiedliwić pisownia wyrazu „dokąt" i inne błędy.

„Prenumerator z Łodzi". Referent działu esperantycznego uczynił zadość życzeniu pańskiemu, dając wykaz nowych czasopism w języku „Esperanto".

W-ny H. Kobyliński w Radomiu. Do wyboru—jedna z 8-miu powieści (ogłaszanych na okładce); na przesyłkę – 2 marki 7-kopiejkowe.

W-ny Juljusz Brz. w Posuch. Nadesłanego artykułu nie wydrukujemy. Artykułów nie zamawianych nie zwracamy.

W-ny R. Minhejmer we Władykaukazie. Nagrodę wysyłamy.

W-ny A. Brydzyński w Radzyniu. Zaszła omyłka, za którą uprzejmie przepraszamy.

W-ny Robert M. we Wład. Tym razem nie skorzystamy.

„Cierpliwy" w miejscu. Anonimom i pseudonimom nie odpowiadamy.

W-ny J. Białaczewski w Korcu. Owszem, 10%.

Czas już składać przedpłatę na 4=ty (ostatni) kwartał r. b.

Wczesne uregulowanie nakładu jest dla wydawcy sprawą pierwszorzędnej doniosłości; nie wątpimy też, że prawdziwi przyjaciele pisma naszego pośpieszą z odnowieniem przedpłaty.



Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata": *w Warszawie rocznie rb.* 4, *półrocznie rb* 2, *kwartalnie rb.* 1. *Na prowincji i w Cesarstwie rocznie rb.* 5, *półrocznie rb.* 2.50, *kwartalnie rb.* 1.25. *Za granicą rocznie rb.* 6; *wraz z* **„Bibljoteką ilustrowaną podróży i powieści":** *w Warszawie rocznie r.* 6, *półrocznie rb.* 3, *kwartalnie rb* 1 *kop* 50.—*Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb.* 7 *kop.* 50, *półrocznie rb.* 3 *kop.* 75, *kwartalnie rb.* 1 *kop.* 88. *Za granicą rb.* 9.—*Za odnoszenie do domu* 15 *kop. kwartalnie.—Zmiana adresu kop.* 20—*Cena numeru kop.* 10.

Agientura w Łodzi: Księgarnia L. Fiszera, Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, ulica Hoża № 52 m. 4, na dole.**

Agientura w Częstochowie: Księgarnia J. Nowickiego i S-ki, Aleja II № 43.

Wydawca: **Antoni Orłowski.** Za redaktora: **Antoni Orłowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава, 27 Августа 1904 г. Druk Lepperta i S-ki, Elektoralna 18.